Sylwester Szafarz

Uwagi wstępne

Prawdziwy sojusznik powinien być wiarygodny i niezawodny – na dobre i na złe. Polska nie ma takich sojuszników. Od niepamiętnych czasów, strategia i praktyka sojuszów stanowiła o jakości i o efektywności polityki zagranicznej danego państwa i o sile (lub o słabości) jego pozycji na arenie międzynarodowej. Podobnie rzecz się ma w naszych czasach. I choć strategia tego rodzaju jest anachronizmem i wytworem z przeszłości, powstałym w warunkach zupełnie odmiennych jakościowo od współczesnych, to jednak utrzymywana jest ona nadal – z braku odpowiednich substytutów. Co więcej, instytucja partykularnych sojuszów różnego rodzaju (politycznych, ekonomicznych, militarnych i innych), stanowiąca zaprzeczenie zdrowego uniwersalizmu, umacnia i rozszerza się w naszych czasach. Przykład licznych wielostronnych ugrupowań gospodarczych i NATO jest tego wymownym świadectwem.
Po prostu, w warunkach rosnącego zagrożenia oraz braku solidnych gwarancji pokoju, rozwoju i bezpieczeństwa na świecie, poszczególne państwa i narody są coraz bardziej niepewne, jeśli chodzi o ich przyszłość i dlatego poszukują powiązań sojuszniczych oraz pomocy od innych. Jest to, o ironio, wyrazem atawistycznych zachowań stadnych, występujących szczególnie wśród zwierząt, ptaków i ryb. Można oczekiwać, iż odwieczna strategia sojuszów, praktykowana nadal, ulgnie zmianie lub likwidacji po ustanowieniu nowego sprawiedliwego, demokratycznego i wielobiegunowego ładu międzynarodowego.
Polska ma przebogate i raczej przykre doświadczenia sojusznicze (szczególnie z sąsiadami) w swej burzliwej ponad tysiącletniej historii. W większości przypadków, są to jednak doświadczenia negatywne, za które nasz kraj zapłacił ogromną cenę. Przykładów nie trzeba szukać daleko: właśnie poprzez własną nieudolność oraz poronione i nietrafione sojusze, Polska utraciła status mocarstwa europejskiego i stała się państwem peryferyjnym; potem zniknęła na długo z mapy Europy (rozbiory), aby – po powrocie na tę mapę w swym bardzo okrojonym kształcie – paść ofiarą dwóch wojen światowym. Po zakończeniu tej drugiej, tzw. „sojusznicy" zachodni lekką ręką przekazali Polskę do radzieckiej (stalinowskiej) strefy wpływów (zmowa teherańsko-jałtańsko-poczdamska). Była to największa zdrada sojusznicza w całej historii Polski. Gdy sowietyzm upadł, wahadełko polskie znów zostało przesunięte na Zachód, a największy niegdysiejszy „przyjaciel i sojusznik" (Rosja Radziecka) stał się, irracjonalnie, największym „przeciwnikiem" (Rosja putinowska). Ciekawe, jak dalej ułożą się stosunki z nowymi „sojusznikami", zwłaszcza, że złowieszcze czarne chmury pojawiają się również nad tym horyzontem.
Tytuł opracowania jest jak najbardziej zasadny nie tylko z uwzględnieniem naszych doświadczeń historycznych, lecz również najnowszych wydarzeń w zakresie rzekomych powiązań sojuszniczych z Zachodem oraz – ostatnio – poważnych i niepotrzebnych perturbacji polsko-amerykańsko-izraelsko- żydowskich. Są to perturbacje absolutnie irracjonalne, gdyż spory dotyczą (poza finansami) zaszłości historycznych, których nikt i nic już nie zmieni. Prawda jest jedna. Tymczasem racjonalizm i realizm nakazywałby sensowne wyciągnięcie wniosków z historii i zgodne budowanie wspólnej lepszej przyszłości bez popełniania starych błędów. Brak jednak chętnych do realizacji tego zadania. Ale i w tym przypadku: „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło". Bowiem, ww. perturbacje i spory działają jak papierek lakmusowy i

katalizator, dzięki którym strony ukazują swe prawdziwe oblicza, oceny i zamiary. Jest to jednocześnie miernik jakości i wartości powiązań „sojuszniczych". Polska powinna być traktowana przez kolejnych „starszych braci" partnersko i równoprawnie, a nie jako sługa i poddany. Bowiem takie „przyjaźnie" i takie „sojusze' nie są warte ani funta kłaków.
I tu dochodzimy do sedna sprawy: otóż, „przyjaciele i sojusznicy zachodni" oraz starsi bracia w wierze popełniają dokładnie ten sam błąd makro w odniesieniu do Polski, (a Polska w stosunku do nich), jaki poczynili nie tak dawno temu „przyjaciele i sojusznicy radzieccy". Chodzi, mianowicie, o to, że w jednym i w drugim przypadku, owa „przyjaźń i sojusz" stanowiły raczej kategorie pseudo-propagandowe i surrealistyczne, a nie rzeczywiste i realistyczne. Bowiem, gdyby było inaczej, to przyjaźń i sojusz wytrzymałyby ciężką próbę współczesności i przetrwałyby po wsze czasy. I druga konkluzja z tego wynikająca: Polska, borykająca się pomiędzy rozmaitymi i niepewnymi „przyjaciółmi i sojusznikami", znów została osamotniona na geopolitycznej mapie Europy i świata, pozbawiona autentycznych przyjaciół i sojuszników oraz jest torturowana nie tylko przez starszych braci w wierze, ale również przez antypolskich biurokratów unijnych, niektórych Niemców, Rosjan, Ukraińców i in. Jest to wyrazem totalnej klęski RP w jej dziwacznej i poronionej polityce zagranicznej oraz w nieudolnej strategii sojuszów.
Nie należy szukać „sojuszników" daleko, a „przeciwników" blisko. Długofalowe konsekwencje tego stanu rzeczy mogą być bardzo groźne nie tylko dla naszego kraju, ale również dla Europy i dla całego świata. Niejednokrotnie już ostrzegałem przed niebezpieczeństwem „powtórki z historii", tym razem w znacznie zwielokrotnionym wymiarze, a teraz znów ostrzegam jak tylko mogę najdonośniej.

Potrzeba reform

Jak wybrnąć z tej trudnej sytuacji? Starymi metodami nie rozwiąże się nawet starych problemów, nie mówiąc już o nowych. Niezbędne są dogłębne zmiany w teorii i w praktyce, w myśleniu i w działaniu oraz gruntowne, innowacyjne reformy w polityce zagranicznej i w strategii sojuszów. Prawda, to może potrwać latami, ale innego wyjścia nie ma. Rzecz oczywista, iż strategia sojuszów jest pochodną polityki zagranicznej każdego państwa. Problem jednak w tym, iż współczesna polityka zagraniczna i sojusznicza RP realizowana jest w oderwaniu od realiów geopolitycznych i systemowych - regionalnych, kontynentalnych (Euroazja) i globalnych; ponadto, jest ona zbyt (jednostronnie i tendencyjnie) proamerykańska. Polityka tego rodzaju nie uwzględnia obecnych gruntownych przemian dokonujących się w układzie sił na świecie (Azja-Pacyfik, Afryka Północna, Bliski Wschód, Europa Środkowo-Wschodnia i in.). Epokowym świadectwem tych przemian jest, np., powstanie i rozwój BRICS
(Brazil-Russia-India-China-South Africa). Znamionuje to zaczątki wielobiegunowego układu sił i tzw. świata postamerykańskiego oraz kreowania zrównoważonego rozwoju (Sustainable Development) i humanizacji świata.
Dlatego też, zasadnicze zmiany na lepsze i zreformowanie polskiej polityki zagranicznej i strategii sojuszów będzie możliwe tylko przy spełnieniu kardynalnego warunku, jakim jest obalenie obecnego anachronicznego rządu i ustroju (systemu) neoliberalnego w RP oraz zastąpienie go innym – nowoczesnym i efektywnym (autentyczna demokracja parlamentarna, np. w stylu szwajcarsko-skandynawskim, z uwzględnieniem specyfiki polskiej, zamiast rządów kolesiów, koterii i grup interesów, unowocześniona społeczna gospodarka rynkowa, zagwarantowanie Polsce godnego miejsca w świecie wielobiegunowym – z zapewnieniem

humanizacji i zrównoważonego rozwoju itp.). Po 1989 r. – żaden z dotychczasowych rządów polskich, centro-lewicowy czy też centro-prawicowy, nie zdobył się na taki przełom jakościowy! Kluczowym warunkiem skuteczności polityki zagranicznej i strategii sojuszów każdego kraju jest ich kompleksowość. Z uwzględnieniem nadrzędnych interesów państwa i społeczeństwa – powinny one obejmować wszystkie (lub prawie wszystkie) jego zagraniczne priorytety (tzn. inne państwa, regiony, kontynenty, organizacje międzynarodowe i globalne merytoryczne problemy współczesności). Tymczasem, polityka zagraniczna i strategia sojuszów obecnych władz RP są nierealistyczne i fragmentaryczne oraz nie spełniają ww. warunku. Co więcej, nie ma w nich zwartego i jednorodnego systemu i programu oraz mechanizmów ich elastycznej modyfikacji i wyprzedzania (prognozowania) wydarzeń międzynarodowych o ważnym znaczeniu dla przyszłości RP. Nie brakuje za to przypadkowości, improwizacji i „radosnej twórczości". Jest to więc polityka i strategia niezwykle pasywna (głównie – reakcja na wydarzenia) a nie aktywna i kreatywna (przewidywanie i wyprzedzanie wydarzeń oraz tworzenie przyszłych sytuacji i rozwiązań sprzyjających RP).
Po roku 1989 można wyodrębnić trzy wyraźne etapy w rozwoju RP i – w konsekwencji – jej polityki zagranicznej i strategii sojuszów : 1. fascynacja Ameryką – słabnąca teraz coraz wyraźniej i grożąca rozczarowaniem. Towarzyszy temu poszukiwanie polskiego miejsca w NATO i w tzw. układzie atlantyckim. 2. Zaambarasowanie Unią Europejską, przystąpienie do UE oraz mozolne dostosowywanie się do twardych realiów unijnych i nasilających się poczynań antypolskich – w kontekście pogarszającej się sytuacji międzynarodowej (kryzys, terroryzm, uchodźcy, nowe zagrożenia itp.). 3. Swoista bezradność i błądzenie po omacku w obecnej niebezpiecznej fazie przejściowej między systemami: minionym – jednobiegunowym (USA) i przyszłym - wielobiegunowym (BRICS, New Emerging Powers, organizacje kontynentalne i in.).

Neoliberalne władze RP, przywiązane ślepo do klamki mocodawców z USA i Niemiec, nie są w stanie albo też nie chcą pojąć intelektualnie obecnych epokowych przemian w światowym układzie sił i wyciągnąć stąd właściwych wniosków dla RP oraz dla jej polityki i strategii. Dalsze utrzymywanie tego stanu rzeczy groziłoby bardzo poważnymi długofalowymi konsekwencjami i stratami dla państwa i dla narodu polskiego oraz dla jego miejsca w tworzącym się nowym ładzie globalnym. Słowem – władze RP prowadzą politykę zagraniczną i strategię sojuszów adekwatną raczej do realiów międzynarodowych z 19. i z 20. wieku, podczas gdy nasz kraj potrzebuje polityki i strategii na miarę problemów, potrzeb i możliwości 21. i 22. wieku. Niedopuszczalnym wyrazem fragmentaryczności takich poczynań RP na arenie międzynarodowej jest fakt, iż opierają się one tylko na dwóch „filarach" (US i UE), a powinny – przynajmniej na trzech najważniejszych (Azja-Pacyfik, BRICS, ASEAN, Chiny i in.).
Podobnie jak w polityce wewnętrznej, również w sferze stosunków z zagranicą, obecne władze RP wyolbrzymiają rolę czynników medialnych i manipulacyjnych wobec społeczeństwa oraz uprawiają nieznośną „propagandę sukcesów", których, z reguły, nie ma. Faktem jest, iż przywódcy polscy podróżują dużo i daleko po świecie, ale tylko niewiele konkretnych korzyści wynika dla Polski z tych podróży. Bowiem, sumarycznie, w obiektywnej i w mojej subiektywnej ocenie – coraz bardziej słabnie rola i pozycja Polski na arenie międzynarodowej i to we wszystkich możliwych kontekstach: regionalnym, kontynentalnym (euroazjatyckim) i globalnym oraz politycznym, strategicznym, ekonomicznym i kulturalnym, a także w odniesieniu do wielkich mocarstw, najważniejszych organizacji międzynarodowych i in. RP jest nadal niezbyt pożądanym partnerem do współpracy, jako kraj niewystarczająco konkurencyjny i innowacyjny. Ponadto, Polskę postrzega się, głównie, jako krainę wiecznie skłóconych polityków,

niedoinwestowaną, nienowoczesną, średniowieczną (ideologicznie), rozhisteryzowaną (historycznie) – ale mającą wielkie pretensje i ambicje mesjanistyczne, mocarstwowe i globalne („mierzyć siły na zamiary...”). Takie odbieranie Polski w świecie jest również wynikiem braku jej odpowiedniej promocji na arenie międzynarodowej, co powinno być jednym z głównych zadań nowoczesnej polityki zagranicznej i strategii sojuszów naszego kraju. Ale nie jest.

Marni „sojusznicy”

Dla uzyskania realistycznego obrazu naszych najważniejszych „powiązań sojuszniczych”, dokonajmy syntetycznego przeglądu i oceny sytuacji w tej mierze, aby określić, co jest, a czego nie ma i co być powinno, żeby strategia sojuszów była efektywną instytucją z prawdziwego znaczenia i żeby dobrze służyła rozwojowi i bezpieczeństwu Polski. W tym celu zastosujemy podejście zasadniczo różniące się od dotychczasowego, a mianowicie, będziemy poszukiwać sojuszników blisko, a ewentualnych przeciwników daleko od naszego kraju.

Polska a Rosja: poronione i anachroniczne podejście władz RP wobec Rosji – to drugi po Chinach, pod względem skali i znaczenia, dramat i kardynalny błąd w polityce zagranicznej i sojuszniczej. W wyniku tego, marnowane są wielkie szanse i możliwości współpracy i rozwoju, co powoduje ogromne straty, i to na długie lata. Radykalne odwrócenie tej sytuacji jest też fundamentalnym warunkiem powodzenia w nowej polityce zagranicznej i sojuszniczej RP. Rosja bez Polski da sobie radę; ale Polska bez Rosji – nie! Małpowanie nie tak dawno temu w Polsce amerykańskiego „reset’u” wobec Rosji skończyło się raczej na słowach i na gestach, za którymi nie poszły konkretne dokonania oraz na pogarszaniu stosunków wzajemnych. Uwikłanie wielu polityków w cierpiętnictwo historyczne czy w tragedię smoleńską odbiera im rozum i trzeźwe spojrzenie ku przyszłości. Dlaczego, no dlaczego, Polska nie może czy nie chce naśladować Niemiec (Angeli Merkel, Gerharda Schroeder’a i in.) w stosunkach z Rosją? Wniosek ogólny: Rosja – to dla Polski sztuczny przeciwnik (historycznie) i jeden z najważniejszych sojuszników (perspektywicznie);

Państwa sąsiadujące: przeanalizujmy teraz, pokrótce, inne najważniejsze z ww. kontekstów obecnej polityki zagranicznej i strategii sojuszów RP, zaczynając od północnych sąsiadów, czyli od państw nordyckich i bałtyckich. Ogólna ocena: marazm, stagnacja i rutyna. A jeszcze nie tak dawno współpraca państw basenu Morza Bałtyckiego zapowiadała się w miarę pomyślnie. Demokratyczne i społeczno-gospodarcze wzorce skandynawskie, z poprawką na specyfikę polską, mogą z łatwością być dostosowane do naszych warunków. W regionie, już nawet Litwa „nie boi się” Polski. Spaliły na panewce aspiracje i podpowiedzi „demokratyzacyjne” władz warszawskich wobec Ukrainy, Gruzji i innych państw z naszego regionu. Teraz na tapecie oficjalnej Warszawy jest Białoruś – ale konsekwencje „starań” ze strony niektórych polityków polskich mogą być takie same j.w. albo jeszcze gorsze. (W tym kontekście – na tragikomiczną ironię zakrawały umizgi i pouczenia proamerykańskiego Wałęsy i Sikorskiego wobec Tunezji czy Libii, bowiem tamtejsze rewolucje islamskie miały, w większości, antyamerykański charakter i przeganiały precz ludzi Ameryki – Mubarak, Ben Ali, Saleh i in.).
Ponadto, koncepcja „partnerstwa wschodniego” jest dobra w kategoriach teoretycznych, ale w praktyce jawi się ona jako fata morgana. Nie da się zrealizować takiej koncepcji z pominięciem Rosji. Co więcej, ambicje niektórych polityków polskich do „liderowania” w regionie są nie do przyjęcia dla innych państw. Nie wolno narzucać im polskich niezbyt udanych wzorców i

rozwiązań. Brakuje tu skromności i realizmu. Jeśli „Trójkąt Królewiecki" (Niemcy – Rosja – Polska) miałby być powtórką Trójkąta Weimarskiego, to lepiej, w ogóle, nie należałoby powoływać go do życia.
Dalej, na południe: Słowacja i Czechy – to „normalka" bez rewelacji i bez nowości, a szkoda! No, i Węgry – to chyba jedyny na świecie taki przypadek pozytywnego stosunku i poparcia sojuszniczego wobec Polski. Trzeba to cenić i szanować. Nie da się wszakże zapomnieć o tym, iż niektórzy ówcześni przywódcy węgierscy skierowali wojska tego kraju do udziału… w bitwie stalingradzkiej (to symbol) po stronie hitlerowskiego Wehrmachtu. Generalnie jednak, węgierskie poparcie dla Polski, np. na forum Grupy Wyszehradzkiej i UE ma przyjacielski, ale raczej deklaratywny charakter, gdyż, praktycznie, Węgry za wiele nie mogą zdziałać w obecnej niezwykle skomplikowanej sytuacji w Europie i na świecie. Wniosek ogólny: niewykorzystane optymalnie sojusze z sąsiadami (do generalnego remontu);

Problem ukraiński – to specjalny casus w analizowanym kontekście. Trzeba pamiętać, iż „pierwszy majdan", zafundowany naszym narodom i państwom przez „przyjaciół i sojuszników" amerykańskich, miał na imię: Stocznia Gdańska im. W. Lenina. Tam zapoczątkowano sławetne transformacje w naszym regionie i dopiero parę lat później pojawiły się kolejne majdany w Kijowie – ze znanymi konsekwencjami. Ukraina krwawi nadal i popada w coraz większą anarchię. Polskie wzorce nie znalazły tam zastosowania. Niektórzy decydenci polscy starali się być „ambasadorami" Ukrainy na różnych forach i bardzo liczyli na umocnienie sojuszu polsko-ukraińskiego, kiedy do władzy w Kijowie doszli bardzo proamerykańscy przywódcy. Nic dobrego z tego nie wyszło. Na Ukrainie górę wzięły silne i drzemiące tam tendencje nacjonalistyczne i antypolskie (banderowcy itp.), a mit o przyjaźni i o sojuszu polsko-ukraińskim staje się coraz bardziej niepewną fata morganą. Nie trzeba jednak tracić nadziei, że sytuacja może ulec poprawie przy odrobinie dobrej woli i zdrowego rozsądku z obydwu stron. Wniosek ogólny: zakończyć szarpaninę historyczną, zacząć współpracę od nowa – z myślą o przyszłych pokoleniach, nie skażonych piętnem przeszłości. Jednocześnie, fatalna polityka RP w świetle kryzysu ukraińskiego sprawia, iż Polska znalazła się niebezpiecznie na 1. linii frontu w konfrontacji globalnej między USA/NATO a Rosją!

Kontekst unijny: chyba mogłoby być z tym dużo gorzej niż jest, ale to zaledwie początek polskiej wyboistej drogi ku integrującej (a może już dezintegrującej) się w bólach Europie (Brexit itp.). Czeka nas jeszcze wiele trudności i niespodzianek nie zawsze przyjemnych (np. upadłość niektórych państw członkowskich UE i jej implikacje dla wszystkich, ewentualny krach „strefy euro", „dwubiegowa" UE – z pomniejszeniem roli Polski i innych krajów „nowej Europy" czy wręcz upadek UE lub jej zredukowanie do pierwotnych rozmiarów, nasilone niemieckie komenderowanie Unią itp.). Jest dylemat: czy przystąpienie RP do UE to – przeważająco – „zasługa" polska czy też unijna? Obie strony wniosły zapewne swój wkład do tego dzieła. Jednak Unia bardziej potrzebowała rozszerzenia o inne kraje, także o Polskę – bowiem dusiła się już we własnym ciasnym gorsecie (starzenie się społeczeństw europejskich, za mały rynek zbytu, spadek konkurencyjności itp.). Dlatego też nowe rynki zbytu, większe możliwości lokat kapitałowych i zdolności produkcyjnych oraz powiększenie UE do rozmiarów, z którymi liczą się inne supermocarstwa, było bardzo potrzebne Europie Zachodniej, szczególnie rozkojarzonym merkelowskim Niemcom.
Nie należy więc przeceniać „zasług" polskich w tym względzie. Zresztą, gruntownego zastanowienia i rzetelnej oceny wymaga jeszcze dylemat: dla kogo owa (częstokroć fasadowa)

przynależność jest bardziej opłacalna? Dla Polski, czy dla UE? Obawiam się, że bardziej dla UE. A to np. z powodu znacznych korzyści uzyskiwanych przez przedsiębiorstwa, banki i inne podmioty niemieckie i unijne na dość dużym i chłonnym rynku polskim (por.: wielkie hurtownie francuskie, niemieckie czy nawet portugalska „Biedronka" drenują ten rynek i kieszenie polskich konsumentów), wpływy z prywatyzacji, równoznacznej nierzadko z wyprzedażą za pół ceny polskiego majątku narodowego, dywidendy od kapitałów zachodnich ulokowanych w Polsce, obsługa polskiego zadłużenia zagranicznego, eksport polskiej siły roboczej i wiele innych).
RP jest więc raczej słabowitym partnerem dla innych krajów członkowskich UE, które spychają nas do gorszej (drugiej) kategorii tych krajów. Nie spełniły się prognozy dotyczące zaliczenia RP do czołowej „szóstki" unijnej – obok Niemiec, Francji, W. Brytanii, Włoch i Hiszpanii. Bowiem zadłużająca się po uszy i mało wiarygodna jest nie tylko Polska – lecz również Hiszpania, Włochy a nawet Francja i W. Brytania. Obecny kryzys w eurolandzie oznacza jednocześnie kompromitację i znaczny uszczerbek dla wiarygodności UE. Bowiem nie sprawdziły się i nie zadziałały w praktyce mechanizmy ostrzegawcze przed załamaniem finansowym, np. w Grecji, w Irlandii, w Islandii, w Portugalii i w innych krajach. Polska, poprzez swe rosnące sumaryczne zadłużenie i uzależnienie od partnerów zachodnich, jest na prostej drodze do „Grecji bis". Obowiązkiem biurokratów z Brukseli było niedopuszczenie do tych kryzysów. A może komuś zależało na tym, żeby, np., Grecja splajtowała i została wyprzedana za bezcen!?
Wniosek ogólny: zreformowanie i unowocześnienie Unii wydaje się tak trudne, że aż niemożliwe; plus alternatywa – albo biurokracja unijna zacznie traktować Polskę poważnie i równoprawnie, albo też Polska powinna rozważyć wystąpienie z UE;
(nota bene: znaczna część uwag dotyczących stosunków RP – UE może być również odniesiona do relacji RP – NATO. Nie ma bowiem stuprocentowych gwarancji ze strony Sojuszu, że zapewni on bezpieczeństwo Polski (i innych państw członkowskich) na wypadek poważniejszej zawieruchy międzynarodowej, czy agresji na dużą skalę. Bowiem, w takich bezprecedensowych sytuacjach, fizyczne możliwości realizacji przez NATO zobowiązań sojuszniczych byłyby relatywnie ograniczone i zapewne niezbyt efektywne. Trzeba być realistą: w przypadku poważniejszej regionalnej czy globalnej konfrontacji militarnej, każda z armii natowskich bronić będzie, przede wszystkim, własnego kraju. Mało prawdopodobne, aby, np., Bundeswehra przyszła z pomocą Wojsku Polskiemu, czy Wojsko Polskie wspierało wtedy Bundeswehrę. Przecież NATO nie posiada własnych wspólnych, jednolitych i jednorodnych sił zbrojnych zdolnych do obrony wszystkich 29 państw członkowskich jednocześnie. Pozostaje wtedy błagać o wsparcie US Army, Navy i Air Force. I tu napotykamy na kolejny wielki dylemat, bowiem o takie wsparcie może zwrócić się do USA prawie 200 zagrożonych państw świata. Jednak pomoc amerykańską mogłoby uzyskać tylko kilka z nich: Kanada, Meksyk, W. Brytania, Arabia Saudyjska, Izrael, Japonia i (ewentualnie) Polska. Wniosek ogólny: również Sojusz NATO wymaga generalnych reform, modernizacji i adaptacji do obecnych i do przyszłych realiów kontynentalnych i globalnych, albo – po prostu – likwidacji, jako mało przydatny obecnie przeżytek zimnowojenny;

Niemcy, Francja, W. Brytania: swoistą ironią ponad tysiącletniej historii – ale i pewnym dokonaniem obydwu stron (polskiej i niemieckiej) – jest fakt, iż wśród sąsiadów, Polsce współpracuje się stosunkowo najlepiej ze swym niegdysiejszym największym wrogiem. Metodami pokojowymi, współczesna RFN usiłuje uzyskać analogiczne wyniki (nowe rynki zbytu, źródła surowców, tania siła robocza itp.), które hitlerowska III Rzesza starała się osiągnąć na drodze wojny i zbrodni. Nie trudno wyobrazić sobie, jak wyglądałaby dziś gospodarka polska

bez tak znacznych możliwości eksportu na pobliski rynek niemiecki?! Nie jest to jednak współpraca (dwustronna i wielostronna) całkowicie partnerska i równoprawna, a to z uwagi na miażdżącą przewagę RFN nad RP w wielu kluczowych dziedzinach (np. PKB, PKB per capita, siły zbrojne czy infrastruktura – nie przymierzając).
Nie jest to również współpraca wolna od dających do myślenia stereotypów i podtekstów (Erika Steinbach, Ruch Autonomii Śląskiej, przyjaźń i współpraca niemiecko-rosyjska, drzemiąca, ale coraz aktywniejsza skrajna prawica i in.). Sprawa jest dość prosta: same Niemcy (czy Francja) – to za mały partner dla supermocarstw (Chiny, Indie, Rosja, USA, ASEAN, BRICS, Unia Afrykańska i in.); ale Niemcy (czy Francja) w składzie UE oraz UE, jako taka, to już poważny partner dla ww. supermocarstw.

Francja: odwieczna miłość Polski do Francji jeszcze nigdy nie była tak nieodwzajemniona przez niewdzięczną Francję, jak w ostatnich latach. Z nostalgią można wspominać wizytę Generała Charles de Gaulle w pojałtańskiej Polsce i jego pamiętne zawołanie: „niech żyje Zabrze, najbardziej polskie z polskich miast". A były to czasy ostrej walki o integralność terytorialną Polski i o uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Jeszcze Prezydent Valery Giscard d'Estaing spotykał się w podwarszawskim Wilanowie z Leonidem Breżniewem i z Edwardem Gierkiem w okresie sławetnego odprężenia w Europie i KBWE; ale później było już tylko coraz gorzej z każdym kolejnym prezydentem francuskim. I tak to dotarliśmy do wymiany złośliwości z obydwu stron i do obecnego konfliktu caracalowego i in.! Ten stan rzeczy w stosunkach dwustronnych stanowi dla mnie, frankofona i frankofila, bardzo dużą przykrość i nieprzyjemną niespodziankę. Trzeba przerwać tę spiralę nonsensu – dla dobra obydwu stron i całej Europy.

W. Brytania: niektórzy polscy decydenci, rozczarowani niską jakością, a nawet antypolskością, preferowanych „sojuszników", starają się, trochę z przymusu i na siłę, poszukiwać przyjaźni i powiązań sojuszniczych z W. Brytanią i trochę w trosce o interesy licznej Polonii w W. Brytanii. Nie ma w tym nic złego. Starania te napotykają jednak na poważną przeszkodę i niewiadomą w postaci konsekwencji Brexitu, czego doświadczenia mogą stanowić pewien prawzór dla ew. Polexitu. Gdyby okazało się, że Zjednoczone Królestwo, któremu przecież grozi dezintegracja (Szkocja), rzeczywiście pragnie zostać czołowym i autentycznym sojusznikiem RP w Europie Zachodniej, to OK?! Ale, gdyby UK znów starało się wykorzystywać atut polski instrumentalnie w swych rozgrywkach z Niemcami i z Francją, to nie OK.
Nie wracając do niektórych mrocznych kart historii polsko-brytyjskiej, trudno wszakże zapomnieć o tym, że Winston Churchill był jednym z tych, którzy sprzedali powojenną Polskę Stalinowi i że określone siły brytyjskie kryją się za zabójstwem gen. Wł. Sikorskiego, czego dokumentów Londyn nie chce ujawnić do tej pory. Zapewne Polska pojałtańska wyglądałaby już dawno inaczej (korzystniej), gdyby generał żył i działał dla kraju. Biorąc wszakże pod uwagę plusy i minusy współpracy i sojuszu polsko-brytyjskiego, na przyszłość życzę mu jednak jak najlepiej. Let us wait and see.
Wniosek ogólny: trzy główne mocarstwa „starej Europy" nadal traktują (w sumie) Polskę jako państwo i społeczeństwo gorszej kategorii („ubogi krewny"), jako intratny rynek zbytu, źródło siły roboczej i poważnych dochodów (dywidendy, wpływy podatkowe, „odsypy" z niemałych funduszów unijnych przekazywanych Polsce itp.).

Stany Zjednoczone: międzynarodowa pozycja największego „sojusznika" RP słabnie coraz bardziej w konfrontacji z New Emerging Powers, ale USA starają się jednak trzymać nasz kraj

jak najdłużej – krótko na swej smyczy. Ludzie Ameryki w Polsce pomagają im w tym wytrwale i beznadziejnie. Stanom zależy na tym, aby RP nie stała się wyłączną domeną UE i nie zbliżała się do Rosji i do Chin. Tworzy się sytuacja, w której Polska staje się pionkiem czy też kartą przetargową w grze supermocarstwowej (szczególnie w czworoboku: UE-USA-Chiny-Rosja). Bardzo źle to wróży naszemu krajowi na przyszłość. W tej sytuacji, wręcz rewolucyjnych przemian i odwrócenia obecnej sytuacji wymgają stosunki między RP i USA. W okresie transformacji rozwijają się one pod dyktando Waszyngtonu – na poniżającej zasadzie: „pan każe, sługa musi". Nawet w czasach radzieckich, Polska dysponowała większą dozą elastycznego manewru wobec „starszego brata" niż w czasach amerykańskich. De facto, USA przekształciły RP w swoją półkolonię – pod każdym względem. W piorunującym tempie dokonuje się nadal amerykanizacja kluczowych aspektów życia politycznego, społecznego, kulturalnego, językowego i gospodarczego oraz polityki zagranicznej RP. Negatywne skutki tego dla Polski ujawnią się w pełni dopiero po pewnym czasie, kiedy wykształci się nowy układ sił światowych, w którym miejsce USA będzie dużo słabsze niż obecnie. Także w przypadku amerykańskim mamy do czynienia z żałosnymi manipulacjami dotyczącymi kwestii budżetu federalnego i uregulowania olbrzymiego zadłużenia publicznego (i innego – razem ponad 160 bln USD).
System amerykański i „American Dream" nie jest już wzorcem dla nikogo. Nawet w Stanach trwają gorączkowe prace nad znalezieniem nowego systemu i lepszego modelu rozwoju (nota bene: rozwiązania chińskie są tam bardzo atrakcyjne, szczególnie dla przedsiębiorców). Gdyby to nie nastąpiło, będziemy świadkami dekompozycji USA i upadku kolejnego „imperium". Nie ma więc merytorycznych powodów, aby dalej kurczowo trzymać się amerykańskiego „starszego brata". Rozumieją to już prawie wszyscy ludzie na świecie – z wyjątkiem fanatycznych urzędników proamerykańskich i neoliberałów w RP.
Nasz kraj i nasz naród zapłacił już ogromną cenę, także w kategoriach finansowych, za łaskawe przygarnięcie nas pod „skrzydełka amerykańskie". Polska potrzebować będzie chyba ze 100 lat, żeby, ewentualnie, wyplątać się z ogromnego zadłużenia łącznego (ok. 8 bln zł), w jakie wpędził nas neoliberalizm amerykański i polski. Oto skutki małpowania amerykańskiego „życia na kredyt" w biednym kraju, którego na to nie stać.
Generalnie – sytuację można ocenić tak: pokojowe i relatywnie po niewielkich kosztach przeciągnięcie RP do amerykańskiej strefy wpływów było, jak do tej pory, znacznie bardziej korzystne dla USA i dużo mniej korzystne dla Polski. Wszyscy znają konkretne i bardzo liczne przykłady uzasadniające tę tezę. Owe korzyści amerykańskie idą w dziesiątki, ba – być może – nawet w setki miliardów dolarów – poczynając od planu Sachsa/Balcerowicza - do tej pory. Tego nie da się dokładnie wyliczyć. Jednakże sytuacja Polski wobec USA też ulega dramatycznym przewartościowaniom. Kiedyś, w czasach systemu dwubiegunowego, Polska była cennym nabytkiem dla Stanów Zjednoczonych w walce ze Związkiem Radzieckim. Teraz już nie ma takiej potrzeby. Efekt – mimo wszystko i coraz bardziej RP staje się „kulą u nogi" USA. Może ona liczyć jeszcze na pewną tolerancję i na pobłażliwość słabnącego i potrzebującego pomocy „starszego brata" - ale nie na konkretne korzyści z jego strony. Słowem, sojusz polsko-amerykański traktowany jest bardzo instrumentalnie przez USA i – coraz wyraźniej – na zasadzie: „Murzyn (polski) zrobił swoje, Murzyn powinien odejść...".
Analogia między kolejnymi „starszymi braćmi" narzuca się sama przez się: konający Związek Radziecki nie był w stanie pomóc (ani też zaszkodzić) Polsce. Podobnie – słabnące Stany Zjednoczone coraz mniej potrzebują Polski i nie chcą jej pomagać, zwłaszcza że mają one znacznie więcej takich wymagających „klientów" na świecie. W konsekwencji, w polskiej

polityce zagranicznej i w strategii sojuszów pojawia się coraz bardziej wyrazista próżnia postamerykańska, której nieoliberałowie nie zdołają i nie potrafią wypełnić. Zrobią to za nich inni – a jeśli nie, to próżnia w polityce i w strategii wypełni się samoczynnie.
Co gorsza, z punktu widzenia wymagań i zagrożeń dla bezpieczeństwa kraju, sytuacja strategiczna Polski nie jest bynajmniej tak dobra i komfortowa – jak prezentuje to oficjalna propaganda rządowa. Np. nasila się zagrożenie terrorystyczne, ekologiczne, klimatyczne, imigracyjne, epidemiologiczne, internetowe, kosmiczne itp. Nawet umiłowanie USA, przynależność RP do UE i do NATO (w obecnym kształcie) nie zapewnia nam odpowiednich gwarancji bezpieczeństwa. Nasz kraj nie ma niezawodnego sojusznika „na śmierć i na życie". Są to raczej sojusznicy koniukturalni i teoretyczni. W praktyce – historia z „pomocą" zachodnią tuż przed II wojną światową i w jej trakcie może się powtórzyć. W większości przypadków, rzeczywiste gwarancje bezpieczeństwa (np. militarnego) zastępowane są złudną grą pozorów i mylącym słowotokiem propagandowym.
W kontekście amerykańskim, słów kilka o pogorszeniu stosunków polsko-izraelsko-żydowskich. To niedobre zjawisko. Jest w Polsce niemało decydentów i zwolenników traktowania Państwa Izrael i diaspory żydowskiej, szczególnie w USA, jako jednych z głównych sojuszników RP. Można i tak. I oto nagle, w lutym 2018 r., ludzi tych spotkała niemiła niespodzianka i zimny prysznic, który jeszcze nie oznacza ich otrzeźwienia i wkroczenia na ścieżkę realizmu. Wybuchła bombka z opóźnionym zapłonem pod pretekstem sprzeciwu izraelsko-żydowskiego wobec modyfikacji ustawy o IPN oraz w wyniku odmiennego podejścia stron do kwestii antysemityzmu, antypolonizmu, holocaustu, „polskich obozów śmierci", polskiego nacjonalizmu i in. Okazało się ponownie, iż do tanga sojuszniczego potrzeba dwojga – zgodnie z powiedzeniem: w tym to cały jest ambaras, żeby dwoje chciało na raz, a także wzajemnego zrozumienia i poszanowania.
Tymczasem, starsi bracia w wierze niezmiennie traktują Polskę (nierzadko z obrzydzeniem i z pogardą) w kategoriach koniunkturalnych i instrumentalnych – jako wygodne narzędzie dla podsycania straszaka antysemityzmu w świecie oraz dla kultywowania nadziei na korzyści materialne. Taką drogą daleko nie zajdziemy i, co gorsza, nie rozwiążemy istniejących problemów.
Racjonalnym wyjściem z sytuacji, nie tylko w tym przypadku, jest porzucenie obsesji i animozji historycznych oraz poważne zajęcie się rozwiązywaniem problemów współczesności i przyszłości – z jednoczesnym unikaniem wszelkimi siłami „powtórki z historii". Wniosek ogólny: dotychczasowy kierunek, metody i treści polsko-amerykańsko-izraelsko-żydowskich stosunków wzajemnych, także „sojuszniczych", prowadzą donikąd. Ich dalsze utrzymywanie może spowodować poważne straty lub, wręcz, totalną porażkę wszystkich zainteresowanych stron. Potrzeba reform i renesansu w tej mierze jest ewidentna.

Chiny - Polska: w analizowanym globalnym kontekście „sojuszniczym", wielkie i coraz większe chińskie mocarstwo rozwijające się jawi się jako najpoważniejszy i perspektywiczny partner oraz autentyczny sojusznik Polski i wielu innych krajów. Prawda ta dociera powoli, ale coraz wyraźniej do wielu decydentów. Do tej pory, niewybaczalnym błędem politycznym, strategicznym i gospodarczym było i jest lekceważenie czynnika chińskiego w polityce zagranicznej i w strategii sojuszniczej wcześniejszych i obecnych władz RP. Prezentują one, w odniesieniu do ChRL, podejście bazujące na surrealistycznych kryteriach ideologicznych i nadal „walczą z komunizmem" w Chinach (nota bene: w praktyce chińskiej, po 1949 r., nigdy nie było, nie ma i nie będzie komunizmu – pozostaje on jedynie kategorią teoretyczną). Eksport polski do

Chin tak ma się nadal do chińskiego eksportu do Polski, jak 1 : 13! Oficjalna Warszawa postępuje więc dokładnie odwrotnie niż Waszyngton, Bruksela, Berlin i inne stolice europejskie oraz prawie wszystkie państwa świata. Plasujemy się około 80-tego miejsca w globalnym rankingu największych partnerów zagranicznych ChRL.
Rzecz jednak w tym, iż – wskutek lekceważenia Chin i zaniechania optymalnej współpracy politycznej, społecznej i gospodarczej z nimi po 1989 r. – Polska poniosła ogromne straty finansowe idące (orientacyjnie) w setki miliardów euro (niewystarczające obroty handlowe i nakłady inwestycje itp.), nie licząc innych raczej niewymiernych strat polityczno-społecznych. Dlatego też kardynalnym warunkiem zwiększenia efektywności analizowanej nowej polityki zagranicznej i strategii sojuszów jest odstąpienie od poronionego i wielce szkodliwego podejścia władz RP do ChRL, do BRICS i do rozszerzania współpracy z całą strefą Azji i Pacyfiku (to 3. niezbędny i rozwojowy „filar" polityki zagranicznej – przy jednoczesnym zachowaniu i optymalizacji pozostałych dwóch tradycyjnych i słabnących „filarów" atlantyckich: UE i US).
Powstaje sytuacja raczej niekorzystna dla RP: oto, bowiem, nie tylko USA i Niemcy, ale również Chiny umacniają zdecydowanie swoją obecność polityczną, strategiczną i gospodarczą w państwach sąsiadujących z Polską, szczególnie w Rosji, nawet na Ukrainie, na Węgrzech, na Bałkanach i in. Na tym tle RP staje się swoistą „białą plamą" w kręgu ww. państw współpracujacych efektywnie z Chinami. Ale krąg ów zaciska się coraz mocniej wokół Polski, która, wcześniej czy później, zostanie do niego włączona – nawet wbrew woli niektórych antychińskich decydentów w RP. Po prostu, nolens volens, Polska zostanie niejako wciągnięta automatycznie do wspólnych przedsięwzięć unijno-chińskich, euroazjatyckich i in., np., w infrastrukturze (drogi, koleje, transport morski i lotniczy), kooperacja przemysłowa i rolna, turystyka, energetyka, ochrona środowiska, bezpieczeństwo międzynarodowe i wiele innych.
Wniosek ogólny: nie marnować poważnych szans rozwojowych, jakie zapewnia Polsce wszechstronna współpraca z Chinami, nasz udział w wielkich przedsięwzięciach chińskich (Nowy Szlak Jedwabny, budowanie wspólnej przyszłości całego świata, G16+1 i wiele innych).

Reszta świata: jak stwierdzono powyżej, wielkim błędem o negatywnych konsekwencjach strategicznych i długofalowych jest ograniczona i nierealistyczna „dwufilarowość" obecnej polityki zagranicznej i strategii sojuszów RP: amerykocentryzm i eurocentryzm. W epoce nowej globalizacji, polityka zagraniczna i strategia sojuszów RP jest daleka od globalnego rozmachu, odpowiedniej dynamiki i szerokiego zasięgu. W wyniku tego, władze RP koncentrują się irracjonalnie na przeważającej mniejszości potencjału światowego (np., USA + UE - to zaledwie około 10% ludności, czyli konsumentów, planety Ziemia). Bez wątpienia, szczególnie USA dysponują nadal liczacą się hard power (siły zbrojne, potencjał kosmiczny, nowe technologie, agresywna nowa doktryna militarna i in.). Ale znaczenie tych ich atutów w polityce globalnej będzie się zmniejszało – w miarę zmiany układu sił w świecie oraz przesuwania się centrum rozwoju naszej cywilizacji ze strefy Północnego Atlantyku do Azji i Pacyfiku. Słowem, mieć potencjał hard power – to jedno, ale móc go wykorzystać praktycznie we własnych egoistycznych celach – to dziś zupełnie coś innego. Przy obecnym podejściu władz RP do sytuacji globalnej, reszta świata jest niezwykle niedowartościowana. Tymczasem właśnie na innych kontynentach (tzw. 4A = Azja/Pacyfik, Afryka, Ameryka Łacińska i Australia) dokonują się radykalne przeobrażenia zmieniające oblicze Ziemi i układ sił globalnych dotychczas istniejący. Polska nie uczestniczy w tych procesach w sposób adekwatny do swych potrzeb i możliwości (np. nieobecność w G-20 czy bezczynność na innych ważnych forach globalnych).

Dekoracyjny fotel niestałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ – to za mało. Wniosek ogólny: pilna potrzeba innowacyjnej globalizacji polityki zagranicznej i strategii sojuszów RP.

Organizacje międzynarodowe

Powyższe uwagi dotyczące kulejącej polskiej „geopolityki" i braku odpowiedniej reakcji na zmiany następujące szybko w układzie sił światowych odnoszą się także do niewystarczającej aktywności RP na forum organizacji międzynarodowych różnego rodzaju. Jest ich coraz więcej (już około 70.000) – rządowych i pozarządowych, globalnych, kontynentalnych i regionalnych, wielobranżowych i jednobranżowych, jawnych i niejawnych, cywilnych i wojskowych, wyznaniowych, etnicznych itp. Nie ma już chyba takiej takiej dziedziny życia i działalności ludzkiej, która nie byłaby przedmiotem zainteresowania odpowiednich organizacji międzynarodowych? W tej dziedzinie, nasza cywilizacja doszła już dość dawno temu do górnej granicy wytrzymałości i absurdu. Paradoks sytuacyjny polega na tym, iż – kiedy organizacji międzynarodowych przybywa – to coraz bardziej dramatycznych problemów cywilizacyjnych powinno ubywać – m.in. w wyniku szlachetnej działalności tychże organizacji. Tymczasem jest wręcz odwrotnie.
Mnogość organizacji, ich mało realistyczne programy działania, zbiurokratyzowanie i „dublowanie" działalności, plaga stereotypów i starych nawyków, pożeranie pieniędzy na (jakże często) mało efektywne poczynania – to tylko niektóre grzechy zagęszczającej się sieci organizacji międzynarodowych. Permanentny już kryzys i coraz większa niewydolność ONZ oraz tzw. United Nations' Family (np. w przypadku wojny syryjskiej), biurokratyczna ociężałość UE oraz demoralizacja na szczytach władzy, np., w MFW, są tego szokującymi przykładami. Wyczyszczenie augiaszowych stajni organizacji międyznarodowych jest wielkim wyzwaniem, potrzebą chwili i zadaniem graniczącym wręcz z niemożnością (wściekły „opór materiii"). Kulejący pseudosystem organizacji międzynarodowych wymaga radykalnych cięć i reform. Jego dalsze utrzymywanie nie ma sensu oraz uzasadnienia merytorycznego, formalnego, finansowego i logistycznego. Zmniejszenie o połowę obecnej liczby organizacji międzynarodowych byłoby bardzo pomocne dla społeczności globalnej i zwiększyłoby znacznie sprężystość, jakość i efektywność działania tych organizacji, które pozostaną. Obecny układ organizacji międzynarodowych sięga swymi korzeniami czasów bezpośrednio postjałtańskich i zimnowojennych. Teraz jednak kontekst ogólny i szczególny ich działalności jest diametralnie odmienny niż kiedyś. Stosunkowo najbardziej radykalna komasacja przydałaby się, np., w zakresie niezliczonych organizacji społecznych, humanitarnych, związkowych itp. Chyba najlepiej widać to też przez pryzmat impotencji organizacji międzynarodowych w dziedzinie tzw. nowych zagrożeń (terroryzm – także internetowy, klęski żywiołowe, niszczenie środowiska naturalnego, zmiany klimatyczne, zagrożenia kosmiczne, migracje ludnościowe, nowe choroby i epidemie, analfabetyzm, klęska głodu i braku wody pitnej, degradacja i demoralizacja społeczna, nie tylko narkomania czy pornografia itp. itd.).
Nie ma chyba takiej organizacji międzynarodowej, która, w większym czy w mniejszym stopniu oraz z uwzględnieniem swej specyfiki, nie zajmowałaby się problematyką nowych zagrożeń?! Skutek tego stanu rzeczy jest taki, iż wszyscy lub prawie wszyscy interesują się ww. problemami fragmentarycznie, a nikt nie rozwiązuje ich kompleksowo i całościowo (np. w

kwestii uchodźców, pomocy humanitarnej, służby zdrowia i in.). Nic przeto dziwnego, iż nowych zagrożeń stale przybywa, zaś ostrość tych, które już występują, zwiększa się z każdym dniem. Dlatego też imperatywem najwyższej rangi jest utworzenie specjalistycznej organizacji globalnej, która rozwiązywałaby całościowo problemy nowych zagrożeń i porozumienie się odnośnie do rezygnacji przeróżnych organizacji nieprofesjonalnych z takiej działalności. Analogiczna specjalistyczna organizacja globalna powinna powstać ds. humanizacji i optymalizacji rozwoju społeczno-gospodarczego ludzkości, zastępując dotychczasowych impotentów w tej mierze. Ww. reformy powinny stać się integralną częścią budowania nowego wielobiegunowego ładu światowego, zaś Polska (w której także przybywa organizacji międzynarodowych i ich oddziałów) powinna odgrywać czołową rolę w procesie reform i restrukturyzacji. Tymczasem jednak w poczynaniach RP na forum organizacji międzynarodowych przeważa rutyna, konserwatyzm i bezczynność w wielu wypadkach. Trudno oczekiwać, aby każdy kraj funkcjonował aktywnie na forum wszystkich czy prawie organizacji międzynarodowych. Trzeba wybierać tylko najważniejsze, najsprawniejsze i najbardziej pomocne.

Natomiast władze polskie koncentrują się tylko na kilku wybranych organizacjach, jak np.: NATO, UE, ONZ i OECD (w mniejszym stopniu) oraz na niektórych regionalnych (np. Trójkąt Weimarski i Grupa Wyszehradzka). Te ostatnie są mało efektywne i przypominają raczej wysłużone dekoracje teatralne. To zdecydowanie za mało. Również w polskim przypadku należy zlikwidować lub wycofać się z około połowy organizacji międzynarodowych mających znamiona postjałtańskie i zimnowojenne. Wyjściem z sytuacji jest wyselekcjonowanie organizacji najefektywniejszych i najbardziej potrzebnych Polsce w obecnej sytuacji wewnętrznej, regionalnej, euroazjatyckiej i globalnej; a to w następujących dziedzinach: politycznej, społecznej, strategicznej, ekonomiczno-finasowej, naukowo-technicznej, innowacyjnej, kulturalnej i międzynarodowej. Należy też nawiązać nowatorską współpracę z nowymi liczącymi się organizacjami międzynarodowymi, jak np.: G20 czy BRICS, ASEAN, Unia Afrykańska, Organizacje państw z obydwu Ameryk i in.

Formalnie, MSZ odpowiada za inspirowanie, kreowanie i realizację polityki zagranicznej i strategii sojuszów. Ono też powinno być jej głównym organizatorem i koordynatorem. Ale nie jest. Bowiem, w istocie rzeczy, w warunkach totalnej i – skądinąd – wskazanej decentralizacji współpracy podmiotów polskich z zagranicą, jest tyle „polityk zagranicznych mikro", ile podmiotów utrzymuje takie kontakty. Przy czym jeden nie wie, co robi drugi? Mało kto koordynuje te poczynania z partnerami krajowymi, co – w atmosferze zawiści, podejrzliwości i niezdrowej rywalizacji, doprowadziło do bezprecedensowego poziomu anarchizacji i bałaganu w sferze kontaktów Polski z zagranicą. Na szczeblu centralnym jest kilka głównych ośrodków usiłujących uprawiać własną „politykę zagraniczną makro i mikro": Kancelaria Prezydenta, Kancelaria Premiera, Sejm RP, Senat RP, MSZ (naturalnie) i tzw. resorty siłowe (obrona, sprawy wewnętrzne). Analogiczne ambicje dyplomatyczne mają także wszystkie pozostałe ministerstwa i instytucje centralne oraz niezliczone podmioty terenowe. Dramatyczną ilustracją braku koordynacji poczynań między nimi jest, np., doprowadzenie do katastrofy i do zbrodni smoleńskiej. Wniosek ogólny: aktywnie dążyć do optymalizacji i do uzdrowienia globalnego systemu organizacji międzynarodowych oraz lepiej wykorzystywać ów system dla umacniania powiązań sojuszniczych RP z tymi organizacjami i z innymi państwami w ramach dyplomacji wielostronnej.

Polskie słabości sojusznicze

RP może realizować skuteczną strategię sojuszniczą i odnosić odpowiednie korzyści z tego tytułu jedynie pod warunkiem, że będzie miała coś atrakcyjnego i cennego do zaoferowania obecnym i potencjalnym partnerom. Tymczasem, w tej sprawie nasza sytuacja nie prezentuje się bynajmniej w różowych kolorach. I tak, w sferze politycznej – nie jest prawdą, iż w wyniku transformacji i realizacji określonej polityki zagranicznej i strategii sojuszów RP od 1989 r., umocniła się polityczna i sojusznicza pozycja Polski na arenie międzynarodowej. Wręcz przeciwnie, wbrew pozorom i sloganom propagandowym, jest ona nadspodziewanie słaba. Najnowsze perturbacje Polski w odniesieniu do UE, US, Rosji, Niemiec, Francji, Ukrainy, Izraela i diaspory żydowskiej są tego wymownym przykładem. Sytuacja w tej mierze nie ulega poprawie od dłuższego już czasu. Trudno wskazać choćby jedno państwo, czy grupę państw, która prezentowałaby się jako absolutnie niezawodny sojusznik polityczny Polski na arenie międzynarodowej.
Nasza pozycja geopolityczna jest relatywnie stabilna w czasach pokoju i spokoju społecznego, ale nie ma pewności, co może stać się z Polską, np., podczas gwałtownego zaostrzenia sytuacji wewnętrznej czy międzynarodowej, wzrostu napięcia w stosunkach regionalnych, zmasowanych ataków terrorystycznych czy wielkich klęsk żywiołowych? Obok mało efektywnej polityki zagranicznej i strategii sojuszów RP, jest wiele innych przyczyn tego niekorzystnego stanu rzeczy. Jedną z najważniejszych jest fakt, iż nieustabilizowana, niespójna, zaściankowa i rozkojarzona sytuacja w polityce wewnętrznej RP rzutuje bardzo negatywnie na jej ww. słabowitą pozycję na arenie międzynarodowej i utrudnia (a czasem wręcz uniemożliwia) prowadzenie nowatorskiej i efektywnej polityki zagranicznej oraz realizowanie efektywnej strategii sojuszów. Fatalne wrażenie na partnerach zagranicznych robi ogromna skala korupcji i złodziejstwa w neoliberalnej Polsce. Poza wszystkim, rzutuje to negatywnie na wiarygodność decydentów polskich na arenie międzynarodowej. Jednak najważniejszą przyczyną tego stanu rzeczy są polskie słabości i nijakość systemowa. Na dobrą sprawę, i obywatele RP i partnerzy zagraniczni nie wiedzą, jaki ustrój panuje w Polsce i kto sprawuje najwyższą władzą decyzyjną? Jedni mówią, że panuje tu nadal neoliberalizm, a inni – że społeczna gospodarka rynkowa. Dlatego też, obok konieczności obalenia skompromitowanego i kryzysogennego ustroju neoliberalnego w RP, drugim kardynalnym warunkiem wypracowania i prowadzenia nowej polityki zagranicznej i strategii sojuszniczej RP jest znormalizowanie i modernizacja jej polityki wewnętrznej pod każdym ważnym względem.

Problematyka strategiczna: „osiągnięcia" w tej mierze na arenie międzynarodowej są skrzętnie wyolbrzymiane przez władze RP, szczególnie w kontekście udziału żołnierza polskiego w amerykańskich działaniach bojowych i szkoleniowych w Iraku i w Afganistanie, czy też na innych teatrach działań wojskowych poza granicami kraju. W pewnym sensie, nasz żołnierz stał się, w takich przypadkach, mało pomocnym adiutantem niegdysiejszych „żandarmów światowych" (USA i NATO). W tej mierze pojawiają się jednak u władz RP pewne przebłyski otrzeźwienia i zastanowienia, jak, np., w kwestii odmowy udziału Wojska Polskiego w awanturze libijskiej. Realizm nakazuje spojrzenie na delikatne zagadnienia strategiczne przez pryzmat analizy i interpretacji autentycznej, zgodnej z faktami. Już dziś bowiem można stwierdzić, iż przyłączenie się Wojska Polskiego do ww. operacji i bezkrytyczne małpowanie US Army i NATO w zakresie „wars on terror" czy „preemptive strikes" przynosi Polsce same dotkliwe straty i nie daje żadnych wymiernych korzyści. To wielki błąd strategiczny (i polityczny – w znacznej mierze), za który przyjdzie nam dużo i długo jeszcze płacić (zwiększające się prawdopodobieństwo odwetowych ataków terrorystycznych przeciwko Polsce itp.). Niektórzy

decydenci odeszli od chlubnej tradycji polskiej („o waszą wolność i naszą...” itp.) oraz dali się wciągnąć do amerykańsko – natowskiej „strategii silniejszego” - przy pomocy prawa pięści i polityki kanonierek w nowej odmianie – w dodatku za pieniądze podatników z naszego kraju. Neoliberałowie polscy, ze swą obsesyjną i nieludzką ideologią pięniądza, doprowadzili do bezprecedensowego kryzysu w siłach zbrojnych RP – w kategoriach materialnych i potencjału obronnego. Towarzyszy temu degeneracja moralna i wykorzystywanie wojska w celach sprzecznych z jego przeznaczeniem (obsługiwanie uroczystości religijnych itp.). Dotkliwy jest także brak nowoczesnej doktryny wojskowej, adekwatnej do obecnych warunków szczególnych (RP i WP – w NATO) i ogólnych (utrzymywanie się wysokiego stanu napięcia w stosunkach globalnych, nowy wyścig zbrojeń, konflikty regionalne itp.). W sposób wypaczony i z premedytacją wyolbrzymia się wiodącą rolę USA i NATO – jako głównych gwarantów bezpieczeństwa Polski w aspekcie militarnym (fetyszyzowanie art. 5 Traktatu Waszyngtońskiego itp.). To jest tylko mniejsza część prawdy. Większa część prawdy polega bowiem na tym, jak wspomniano powyżej, iż – w przypadku wybuchu kilku regionalnych konfliktów militarnych czy jednego globalnego oraz zaangażowania sił zbrojnych USA i NATO na różnych teatrach działań bojowych jednocześnie, siły te nie będą miały ani czasu, ani możliwości ani nawet chęci pomagania Polsce. Powiedzą: radźcie sobie sami. Żałosne perypetie związane z urządzeniem tu tarczy antyrakietowej czy ze stacjonowaniem jednostek US Army na terytorium RP są tego wymownym przykładem - nawet w czasach względnego wzrostu napięcia regionalnego. Słowem, władze RP nie mają wystarczającej woli politycznej, rozeznania futurologicznego, odpowiednich elementów i instrumentów natury strategicznej i militarnej celem wspierania nimi poczynań w polityce zagranicznej i w strategii sojuszniczej.

Aspekty gospodarcze: w normalnej sytuacji jest tak, iż potencjał gospodarczy danego kraju (szczególnie - produkcja towarów i usług, wartość PKB i PKB per capita, inwestycje, wolumen eksportu, rezerwy walutowe, stopa wzrostu gospodarczego itp.) powinien być najpoważniejszym czynnikiem i atutem materialnym wspierającym politykę zagraniczną i strategię sojuszniczą tegoż kraju. I na odwrót – polityka zagraniczna i strategia sojusznicza powinny stymulować rozwój gospodarczo-społeczny i stwarzać dlań jak najlepsze warunki zewnętrzne. Klasycznym i wybitnym przykładem takiego właśnie kojarzenia tych funkcji i instytucji są Chiny, Niemcy, Francja, (kiedyś) Japonia i wiele innych krajów. Tymczasem, we współczesnej Polsce brak jest odpowiedniej korelacji między rozwojem gospodarczym a polityką zagraniczną i sojuszniczą. Kontakty ze światem zewnętrznym, podejmowane w ramach tej ostatniej, rzadko kiedy przynoszą konkretny pożytek gospodarce polskiej. Zaś gospodarka nie wspiera polityki zagranicznej i sojuszniczej w niezbędnej i optymalnej skali.
Przyczyn tego niekorzystnego stanu rzeczy jest wiele – np. tradycyjna i pokutująca nadal polska niechęć do wykorzystywania instrumentów ekonomicznych w polityce zagranicznej i sojuszniczej („minister, ambasador, dyplomata nie może być komiwojażerem...”), co obecnie jest bardzo szkodliwym absurdem. Po drugie, a to jest uboczny rezultat transformacji na zasadach ekstremalnego neoliberalizmu a l’americaine: czym i jak może gospodarka polska wspierać polską dyplomację, skoro ponad 80% majątku narodowego RP jest już w obcych rękach!? Tzw. gospodarka polska została już sprowadzona, w znacznej mierze, do roli podwykonawców. Tego nie da się wytłumaczyć tylko przy pomocy „fenomenu globalizacji”. Sytuacja taka nie występuje w żadnym z pięciu największych krajów UE. Po prostu, decydenci RP nie mogą już dysponować „sprywatyzowanym” majątkiem narodowym - a ta jego część, która jeszcze pozostaje w polskich rękach jest zbyt mizernym atutem, przy pomocy którego

można by efektywnie wspierać politykę zagraniczną i sojuszniczą RP. Polscy pracownicy trudzą się, głównie, dla pracodawców zagranicznych, pomnażając ich dochody i zyski, które są wypompowywane z polskiego organizmu gospodarczego. To wielki dramat naszego kraju, który doprowadzi w konsekwencji do jego pauperyzacji i rzutuje negatywnie na słabowitą pozycję RP na arenie międzynarodowej.

Kwestie społeczne: nie można stwierdzić, iż większość społeczeństwa polskiego jest już beneficjentem owoców transformacji systemowej i – związanej z nią – polityki zagranicznej i sojuszniczej RP. Udział „milczącej większości" społeczeństwa w procesie reform i w sferze współpracy z zagranicą jest przerażająco niewielki. Rzuca się w oczy indyferentyzm, zniechęcenie do udziału w życiu politycznym (w wyborach uczestniczy, z reguły, nie tylko mniejszość ogółu społeczeństwa - ale mniejszość wyborców uprawnionych do głosowania). Obywatele, umęczeni walką o byt (bezrobocie, bieda, życie na kredyt, zadłużenie, terroryzm biurokratyczno-finansowy i in.) oraz silnie uwikłani w codzienne kłopoty przez system i rząd neoliberalny, nie mają czasu i siły na interesowanie się oraz na zajmowanie się polityką i strategią, również w jej wersji zagranicznej. Rządzący wykorzystują skrzętnie i – wręcz - podsycają indyferentyzm polityczny coraz silniej manipulowanych medialnie obywateli i uznają, iż – nawet mniejszościowe głosowania – dają im legitymację do sprawowania władzy w imieniu „ogółu społeczeństwa". W całej historii państwa i prawa w Polsce mało jest przykładów analogicznie cynicznego i beceremonialnego traktowania „ciemnej i głupiej masy" społecznej. To się zemści na takiej i jej podobnej władzy oraz zaszkodzi społeczeństwu.
Indyferentyzm przytłaczającej większości obywateli jest najbardziej widoczny w sferze polityki zagranicznej i sojuszniczej RP. Powoduje to sprowadzenie praktycznie „do zera" skali kontroli społecznej (i parlamentarnej) nad tą polityką i znaczne ograniczenie możliwości wpływania na nią nawet przez opozycyjne partie polityczne (np. parodie sejmowych czy senackich debat nt. polityki zagranicznej). W efekcie tego – rządzący neoliberałowie i grupy interesów poczynają sobie samowolnie w tej sferze i czują się raczej bezkarni – nie musząc poważnie liczyć się z nikim i z niczym w swoich poczynaniach. W tym rozumieniu, obecna polityka zagraniczna i sojusznicza RP prowadzona jest, w większości, w interesie rządzących – a nie dla dobra całego państwa i społeczeństwa polskiego. Np. większość społeczeństwa polskiego nie jest usposobiona antyrosyjsko – w odróżnieniu od wściekłej rusofobii niektórych decydentów. Ilustruje to jeszcze inny przykład: w RP istnieje multum pożytecznych organizacji pozarządowych i społecznych działających w sferze międzynarodowej. Ale nie mają one (inaczej niż w innych krajach) większego wpływu na kreowanie i na realizację polityki zagranicznej i sojuszniczej RP, zaś rządzący – nie mają zwyczaju i nie czują potrzeby konsultowania się z tymi organizacjami – dla dobra ogólnego.

Propozycje programowe

Z powyższej analizy sytuacji w omawianej dziedzinie wynika, iż pilna potrzeba gruntownych reform w polityce zagranicznej i sojuszniczej RP oraz wypracowania i wdrożenia jej nowego modelu staje się oczywista i nie ulega kwestii. W okresie transformacji „zreformowano" już niejednokrotnie wiele dziedzin życia i rozwoju kraju, pozostawiając politykę zagraniczną i strategię sojuszniczą całkowicie na uboczu (swoiste „państwo w państwie") – z widocznymi już dobrze opłakanymi tego skutkami. Zaniedbania, dysproporcje i zaległości w tej mierze są przeogromne. W kontekście obecnych realiów krajowych, regionalnych, kontynentalnych i

globalnych oraz głębokich zmian następujących w układzie sił na arenie międzynarodowej, należy rozpatrywać dwa główne podejścia do tego epokowego zadania: - opracowanie i urzeczywistnienie reformatorskiego programu mini – na okres trwania systemu i rządu neoliberalnego; - wypracowanie i wdrożenie reformatorskiego długofalowego programu maxi – NOWEJ POLITYKI ZAGRANICZNEJ I STRATEGII SOJUSZNICZEJ RP – na całą dającą przewidzieć się perspektywę. Program maxi nie byłby sztywny, nietykalny i dany raz na zawsze; wręcz przeciwnie – powinien on być podmiotem systematycznych, elastycznych i nieustannych modyfikacji, uzupełnień i poprawek – w zależności od ewolucji sytuacji międzynarodowej (z wyprzedzaniem wydarzeń) oraz zgodnie z przyszłą nową Konstytucją RP.
Jednocześnie, biorąc pod uwagę obecne powiązania i zobowiązania międzynarodowe RP, w przypadku każego z rozwiązań programowych (mini i maxi), konieczne będzie uzgadnianie polskich reform w polityce zagranicznej z dotychczasowymi sojusznikami: z UE, szczególnie w kwestiach politycznych, ekonomicznych i międzynarodowych oraz z NATO, zwłaszcza w zakresie problematyki strategiczno-obronnej i międzynarodowej. Bez wątpienia, proces konsultacji i uzgadniania przedsięwzięć reformatorskich w pracach nad obydwoma programami, poważnie utrudni i opóźni realizację tych zadań. Bądźmy realistami. Jeszcze ważniejsze będzie uzyskanie konsensusu – zgody politycznej (wszystkie partie legalnie istniejące w RP) oraz społecznej (najważniejsze organizacje pozarządowe i społeczne – na 1. etapie prac). A następnie, przeprowadzenie ogólnonarodowego referendum w tej materii. Natomiast debata krajowa, także z udziałem Polaków z zagranicy (Polonia, emigracja sezonowa i in.), na temat nowej polityki zagranicznej i strategii sojuszniczej RP powinna rozpocząć się od zaraz.

Postulaty merytoryczne: jest jasne, że neoliberałowie nie przeprowadzą analizowanych reform, chyba że zmuszą ich do tego, np., dyrektywy unijne czy nieubłagana logika i charakter rozwoju życia międzynarodowego. Najogólniej rzecz biorąc, istotą zabiegów reformatorskich powinno być dostosowanie polityki zagranicznej i strategii sojuszniczej RP do obecnych i prognozowanych realiów międzynarodowych – celem wyciągnięcia stąd maksymalnych korzyści dla kraju. Zakłada to częściowe odejście od dotychczasowych anachronicznych i monopolistycznych sojuszów, od rozgrzebywania historii i grobów na cmentarzach oraz poszukiwanie nowych sojuszników i partnerów na świecie. P
rzykładowo wymienić należy: Rosję, Chiny, Indie, Brazylię, BRICS, ASEAN, czołowe państwa południowo-amerykańskie, islamskie i in. Nadrzędnym wymaganiem jest efektywne wmontowanie Polski do tworzącego się systemu świata wielobiegunowego, poprzez dodanie, do już istniejących, nowych solidnych „filarów" polityki zagranicznej i strategii sojuszów RP. Zadanie to nie jest bynajmniej ani pionierskie ani też specjalnie odkrywcze, gdyż inne państwa, np. Niemcy, postępują tak już od dawna, utrzymując owocne stosunki partnerskie i sojusznicze z USA, z Rosją, z Chinami, z Indiami, z Arabią Saudyjską, z Afryką Południową i z in. Problem polega wszakże na tym, iż Polska chyba nigdy nie osiągnie statusu i pozycji Niemiec w łonie UE, NATO czy też na arenie eurazjatyckiej i globalnej?!
Konsekwencją twórczego podejścia do urealnienia i do wielobiegunowości polityki zagranicznej RP powinna być dogłębna rewizja dotychczasowych dogmatów, kanonów, przyjaźni i fobii obowiązujących w neoliberalnej polityce zagranicznej: amatorszczyzna, nadmierna proamerykańskość, eurocentryzm, polonocentryzm czy, wręcz, nastroje nacjonalistyczne w niektórych kręgach politycznych RP, antyrosyjskość, antychińskość, trudno kamuflowane nastawienie antyislamskie, niedostateczna doza globalizmu, mesjanizm, historycyzm czy przymykanie oczu na problemy makro i na przyszłość naszej cywilizacji.

Wymagane jest, przeto, wychowywanie społeczeństwa w nowym duchu oraz prawie całkowite odwrócenie polskiego mechanizmu i sposobu myślenia, a także mylnych wyobrażeń o współczesnym i o przyszłym świecie oraz o naszym miejscu w nim; chodzi także o zredukowanie do minimum polskiego postjałtańskiego niewolnictwa w sferze polityki zagranicznej i strategii sojuszów. Kategoria „ograniczonej suwerenności" w tej mierze odnosi się bowiem także (a może – przede wszystkim) do okresu transformacji.

Propozycje organizacyjne: największą trudnością organizacyjno-logistyczną w procesie reformowania będzie optymalne pogodzenie i skojarzenie dwu pozornych sprzeczności: - potrzeby utworzenia silnego centralnego ośrodka inspiracji, kreowania, realizacji, koordynacji i rozliczania nowej polityki zagranicznej i strategii sojuszów RP (MSZ – z prawdziwego zdarzenia), z jednoczesnym precyzyjnym określeniem zadań i funkcji centralnych instytucji państwowych w tym zakresie (podział praw i obowiązków), - postępującej decentralizacji w sferze kontaktów przeróżnych podmiotów krajowych z partnerami zagranicznymi. Należy niezwłocznie położyć kres stanowi absolutnego żywiołu, anarchii i bałaganu, jaki istnieje w tej dziedzinie pod rządami neoliberałów. To degraduje Polskę – jako poważnego partnera - w oczach społecznosci światowej. Dlatego też obie części składowe nowej, nie dającej się sprywatyzować, polityki zagranicznej i sojuszniczej RP: centralizacja i decentralizacja powinny współgrać i współdziałać harmonijnie między sobą – we wspólnym interesie państwowym i społecznym a także unijnym i globalnym.

Konkluzje: z powyższego wynika, iż obiektywna, spokojna, wyważona acz krytyczna, w niezbędnym stopniu, analiza i ocena polityki zagranicznej i strategii sojuszów poprzednich i obecnych władz RP ujawnia jej diametralnie odmienny i daleki od „oficjalnej prawdy" wizerunek niż ten, który jest prezentowany w propagandzie rządowej. Szkoda wszakże, iż wizerunek ów dociera, m.in., do nieświadomych i łatwowiernych obywateli, do niektórych partnerów zagranicznych oraz wypacza obraz polityki zagranicznej i strategii sojuszów RP w odbiorze społecznym i zagranicznym. Po części, trudno mieć pretensje o to, że polska polityka zagraniczna i sojusznicza jest taka, jaka jest. Bowiem – w całym okresie postjałtańskim, szczególnie po roku 1989 – nigdy nie była ona suwerenna, samodzielna i niezależna.
Nie można tego traktować jednak jako usprawiedliwienia dla mało efektywnej, anachronicznej i kunktatorskiej (bez wyobraźni) polityki i strategii w tej mierze. Podczas tzw. transformacji, została ona podporządkowana, w szczególności, wymaganiom realizacji supermocarstwowej polityki globalnej USA – zwłaszcza w odniesieniu do Rosji, do Chin i do całego naszego regionu. Także obecnie, Stany Zjednoczone, poważnie osłabione w wyniku kryzysu globalnego , który same sobie (i światu) sprokurowały, czynią wiele, aby utrzymać Polskę w swej „strefie wpływów". Dziś jest to jednak dla nich zadanie o niebo trudniejsze – z uwagi na szybką zmianę układu sił regionalnych i globalnych – na niekorzyść USA. Drugim kardynalnym czynnikiem znacznie ograniczającym swobodę RP w polityce zagranicznej jest przynależność do UE i związane z tym wymaganie podporządkowania się nadrzędnym potrzebom, nakazom i interesom wspólnotowym (unijnym).
Szczerze mówiąc, słuszny i niezbędny postulat oraz pilna konieczność wypracowania i wdrożenia nowej polityki zagranicznej i sojuszniczej RP jest obecnie niezwykle trudna do realizacji – głównie z uwagi na ww. neoliberalne bariery systemowo-rządowe oraz na krępujące ograniczniki – głównie ze strony US i UE. Nie jest to jednak zadanie z rodzaju niemożliwych do wykonania - „mission impossible". Główne polskie ograniczniki reformatorskie: US i UE – same

poszukują gwałtownie nowych rozwiązań w polityce i w strategii globalnej, stosownie do radykalnych przemian dokonujących się w świecie i do zmiany międzynarodowego układu sił. Nie jest więc wykluczone, iż, szczególnie, USA i NATO będą odchodzić stopniowo od elementów „hard power” (siły zbrojne, metody przemocy itp.) w polityce zagranicznej na rzecz stosowania „soft power” (dyplomacja, negocjacje i in.). Mało mówi się u nas o tym, że skutki kryzysu globalnego dotyczą także, w przemożny sposób, polityki zagranicznej i współpracy miedzynarodowej szczególnie tych, którzy ten kryzys spowodowali. Jest więc już teraz coraz bardziej dogodna możliwość i sposobność przystąpienia w RP do realizacji ww. zadania – z uwzględnieniem wszystkich nowych realiów oraz potrzeb i możliwości narodu i państwa polskiego w całym współczesnym kontekście ewolucji i rewolucji w łonie społeczności międzynarodowej.

Sylwester Szafarz